

## Rozdział IV

### W Łodzi w latach 1940 – 1941

W swojej konspiracyjnej kwaterze zajmowałem się czymś, co z pozoru dałoby wiele do myślenia, a może i niepokoju mojej żonie, gdybym oczywiście był wówczas żonaty. Co pewien czas przychodziły do mnie młode dziewczęta, przeważnie ładne, i coś tam przekazywały: „od Romana dla Macieja”, „od Franka dla Wujka”, od Zębatego dla Witolda”. Łatwo się domyśleć, że była to jedna z moich rozlicznych funkcji, mianowicie wewnętrzna skrzynka organizacji. Odtąd też coś zostało we mnie z pocztowca, bo dalszy etap działalności konspiracyjnej odbyłem nosząc czapkę listonosza, najoficjalniejszego w świecie pracownika agencji pocztowej w małej miejscowości Budzów, ale to dalsza historia, przeznaczona do następnych rozdziałów.

Pewnego wieczoru drzwi się otworzyły, ale zamiast ładnej łączniczki, lekko zaróżowionej z emocji, zjawił się starszy pan o solidnej, poznańskiej aparycji. Po jakiejś chwili przypomniałem sobie, że miałem z nim kontakty w ramach współpracy ze „Związkiem Odwetu”.

Mój gość przedstawił pewien plan. Czy nie ma możliwości zorganizowania laboratorium chemicznego? Dla konspiracji potrzebne są różne takie rzeczy... Recepty będą, trudniej dostępne surowce także. Idzie tylko o to, czy znajdzie się odpowiedni pracownik i jakiś lokal, możliwie bezpieczny, bo produkcja ma mieć większe rozmiary i tego ukryć w szafie czy piwnicy się nie da.

Wtedy pomyślałem o Halince<sup>1</sup>. Była magistrem biologii czy farmacji, już dobrze nie pamiętam. Okrągła, ładna, zawsze pogodna, życzliwa ludziom, uczynna. Ile mogła mieć wtedy lat? Może dwadzieścia pięć, może dwadzieścia sześć. Do trzydziestki nie dożyła, zamęczyli ją Niemcy w którejś kaźni.

Dzień czy dwa później człapałem po schodach piętrowego drewnianego domku przy ulicy Obywatelskiej. Tam właśnie umówiłem się z Halinką. Był ciepły wieczór, w ogródkach rozwijały się pierwsze bzy, jakaś zdarta płyta powtarzała piosenkę o jesiennych różach, różach smutnych, herbacianych. Zrobiło mi się trochę smutno. Czyż w normalnym porządku rzeczy tematem właściwym do rozmowy z młodą i ładną kobietą w taki wiosenny zmierzch były sprawy, gdzie każde pukanie do drzwi może być sygnałem zwiastującym okrutną śmierć w męczarniach, taką właśnie, jaka stała się w końcu udziałem tej młodej kobiety. Coś zbuntowało się we mnie – przeciw komuś, przeciw czemuś. Ale takie bunty i takie chwile rozgoryczenia trwały krótko. Po prostu za wiele mieliśmy pracy, ażeby rozmyślać na tematy oderwane.

Halinka spóźniła się trochę, kto wie, może gdzieś w zakamarkach mózgu ukryty instynkt samozachowawczy próbował ją ostrzec przed pójściem w drogę do drewnianego domku przy ulicy Obywatelskiej, drogę, która zaczęła się naszą rozmową, a skończyła męczeńską śmiercią.

Ale, jak widać, jest w nas coś mocniejszego niż instynkt samozachowawczy i Halinka, zaraz po przeproszeniu za spóźnienie, powiedziała wprost:

- Domyślam się, po coś chciał się ze mną spotkać. I od razu chcę powiedzieć, że zgadzam się na wszystko, czego ode mnie żądacie.

Nawet ucieszyła się, gdy wyłuszczyłem jej propozycję. Pracować w swoim zawodzie to dla konspiratora wielka gratka, a dla organizacji jeszcze większa korzyść, bo praca, którą ktoś zna, jest o wiele wydajniejsza, bezpieczniejsza, po prostu lepsza.

---

<sup>1</sup> Halinka – Halina Galasówna, mgr biologii, córka znanego w Łodzi działacza PPS

Halinka w swojej „kuchni” warzyła i preparowała rozmaite proszki, płyny i inne substancje. Do moich zaś obowiązków należało rozprowadzanie tej produkcji na coraz chłonniejszym rynku.

Zaczęliśmy od rzeczy bardzo niewinnej. Wyprodukowaliśmy dość prozaicznie wyglądający proszek, coś w rodzaju talku. Potem zaczęliśmy szukać szatniarzy w uczęszczanych przez Niemców restauracjach. „Halka”, „Tivoli” – te nazwy knajp łódzkich „nur für Deutsche” wyłaniają się w tej chwili z pamięci z za z górą ćwierćwiekowej odległości. Operacja wyglądała tak: przychodzi do restauracji jakiś Niemiec, szatniarz taksuje go wzrokiem; warto czy nie warto? Jeżeli gość robi wrażenie „grubszej” ryby, wówczas szatniarz zapamiętuje jego płaszcz, a gdy zrobi się w przejściu trochę pustawo, wówczas nasypuje nieco proszku do kieszeni lub rękawiczki. To wszystko. Za parę dni Niemiec w popłochu idzie do lekarza chorób skórnych i wenerycznych, gdyż dostał jakichś takich ohydnych i bolesnych wyrzutów na rękach. Co to może być, Herr Doktor? Herr Doktor kiwa głową, myśli to i owo, tak czy owak trzeba zacząć kurację, która potrwa i na czas jakiś wyłączy naszego „übermenscha” z jego zbożnego wysiłku przeciw Polsce.

Nasza działalność sabotażowo-dywerysyjna zataczała coraz szersze kręgi. Laboratorium Halinki zwiększało produkcję i urozmaicało asortyment. Oto, na przykład, stwierdziliśmy, że jednym ze sposobów przewożenia amunicji na front jest ustawianie skrzynek w wagonie otwartym, a potem przykrywanie ich sianem. Tak więc wagon z amunicją wyglądał dość niewinnie: ot, zwykle sobie siano, przykryte plandeką.

Opracowano więc zapalnik chemiczny do siana, oczywiście działający z opóźnieniem. Wyglądał on jak ołówek, wtykało się go na stacji kolejowej przed wyruszeniem pociągu w dalszą drogę. Pociąg mijał jedną stację, drugą, zapalnik się rozgrzewał, w pewnym momencie siano wybuchalo płomieniami, a skrzynki amunicyjne w środku... łatwo wyobrazić sobie konsekwencje.

Zdarzył się jednak przypadek, o którym opowiedział szef grupy sabotażowej z dworca Łódź Kaliska 9 (nazwiska niestety nie pamiętam), który mógł zakończyć się tragicznie. Otóż pewnego razu nasz człowiek, opukujący młotkiem koła wagonów około czwartej rano, nie widząc nikogo w pobliżu wsadził w wagon siana „ołówek”, który miał się po godzinie zapalić. Gdy odszedł, dalej pukając młotkiem, obejrzał się i zobaczył, że wagon z sianem zaczyna już dymić. Zdawszy sobie sprawę, że w razie pożaru może zostać oskarżony o podpalenie, gdyż peron był pusty, wrócił i krzyząc: „Feuer! – własną czapką i bluzą zaczął tłumić ogień. Na ten krzyk nadbiegli niemieccy żołnierze i pomogli mu gasić. Od naczelnika stacji dostał potem trzydzieści marek nagrody „za ugaszenie pożaru od iskry z parowozu”. Byliśmy i my zadowoleni z takiego obrotu sprawy. Kolejarz ten prosił jednak, by „ołówki” były solidniejsze.

Produkowaliśmy też na użytek sabotażu kolejowego brykiety o termicznym działaniu. Brykiety te wrzucali nasi kolejarze do węglarki. Niemiecki palacz własnoręcznie łopatą zgarniał je i rzucał do paleniska. Po jakimś czasie owe brykiety wywoływały gwałtowny wzrost temperatury. Kocioł pękał, lokomotywa musiała być oddana do kapitalnego remontu. Pociąg oczywiście znacznie opóźniony przybywał do miejsca przeznaczenia.

W tym też czasie zaczęliśmy montować siatkę w warsztatach samochodowych licznie rozsianych po całym mieście. Potrzeby niemieckie w zakresie obsługi samochodów były ogromne, nie mogli więc zrezygnować z pracy mechaników polskich. Postanowiliśmy to wykorzystać.

Zadanie jednak nie było łatwe. Samochód to nie pociąg, przechodzący przez liczne stacje, obsługiwany przez dziesiątki, a nawet setki rozmaitych ludzi, których nietłato zidentyfikować. Wiadomo, gdzie, w którym warsztacie, przez jakiego człowieka był

przeglądany, konserwowany czy naprawiany samochód. To też musieliśmy wypracować taki system działania, który by jakoś asekurował naszych współpracowników.

Najbardziej „anonimową” rzeczą w samochodzie jest paliwo. Po przejechaniu kilkuset kilometrów kierowca zapomina, gdzie i kiedy tankował. Jeśli zaś wskaże tę czy inną stację benzynową, sprawa zostaje nadal otwarta, gdyż nie wiadomo, czy ktoś benzynę zanieczyścił na danej stacji, czy taka już została przywieziona. Zwłaszcza w warunkach wojennych, gdzie nierzadko pompowano paliwo prosto z beczki, dojście właściwego sprawcy zepsucia benzyny jest praktycznie niemożliwe.

Halinka więc, na podstawie recept opracowanych przez poznaniaków z „Związku Odwetu”, wyprodukowała zapalniki chemiczne, które, umieszczone w zbiornikach z benzyną, powodowały wybuchy, kończące się nieraz pożarem samochodu. Przydzielaliśmy te zapalniki dość hojnie; przypominam sobie wielkie wrażenie, jakie wywarło spalanie się samochodu wiozącego jakichś bardzo ważnych dygnitarzy z SS, wezwanych w pilnej sprawie służbowej z Łodzi do Paryża. Dygnitarze wyszli z tej przygody mocno poturbowani i na dłuższy czas „niezdolni do pracy i obrony”.

Podobne zabiegi, tylko ostrożniej niż z benzyną, robiliśmy z olejem samochodowym. Wyprodukowano jakiś sublimat, który zmieszany z olejem powodował utratę lepkości, a więc najważniejszej cechy oleju samochodowego.

Prowadziło do skutków może mniej efektownych, niemniej jednak dla Niemców bardzo kłopotliwych. Zacieranie się silników...samochód niezdatny do użytku, wymagający poważnego remontu.

Od dłuższego już czasu panowała w Łodzi piękna letnia pogoda. W niedzielę zerwałem się wczesnym rankiem, bo miałem spotkanie w dość odległej części miasta, a starałem się przestrzegać reguły, aby zawsze dysponować pewną rezerwą czasową; niepunktualność w konspiracji może pociągnąć za sobą czasem wręcz katastrofalne następstwa. Przechodziłem właśnie Piotrkowską, która zawsze zatłoczona, gwarna, pełna kurzu i pośpiechu, teraz w spokoju oddychała ciszą i świeżością pięknego poranka. Nawet, rzecz prawie niespotykana, gdzieś z oddali dolatywał śpiew ptaków.

Ktoś podbiegł do mnie i z mocnym niemieckim akcentem, kładąc rękę na ramieniu, zawołał:

- Panie Rusinowski, panie Rusinowski!

Odwrociłem się. Ach, jaka ulga. To znajomy reichsdeutsch, ale taki prawdziwy, autentyczny i zresztą bardzo porządny Niemiec. Był wyraźnie zdenerwowany.

- Panie Rusinowski, słyszał pan...Mein Gott, co to teraz będzie...Wie pan, Hitler uderzył na Rosję. Goebbels przez radio odczytywał odezwę Führera.

Krew uderzyła mi do głowy, ale to tylko na chwilę. Miałem za sobą prawie dwa lata konspiracji, to uczy opanowywać uczucia i spokojnie przyjmować do wiadomości największe nawet sensacje wszelkiego rodzaju. Zdawałem sobie sprawę, że nie należy mówić, co myślę o tym, ale raczej słuchać, co powie tamten.

- Znowu wojna na dwa fronty! I coraz więcej nieprzyjaciół. Każde zwycięstwo – biadał mój reichsdeutsch – przysparza przeciwników, każda zdobycz powiększa nasze kłopoty. Napoleon w Rosji...- stary rozgadał się. Trzeba było się w końcu odezwać.
- Panie Stebler – powiedziałem – jakoś to będzie. Dla dobrych ludzi wszędzie musi być dobrze.
- Ja, ja, gute Menscen – powiedział w zadumie pan Stebler i odszedł. Teraz ja z kolei miałem okazję zastanowić się nad sytuacją. Rzeczywiście wiadomość była sensacyjna. Za chwilę ujrzałem grupki pracowników miejskich, otoczone przez chłopaków z Hitlerjugend, krzątające się przy ustawianiu megafonów ulicznych i rozlepianiu afiszów obwieszczających wybuch wojny.

Spotkanie, na które przyszedłem, odbyło się już w podnieconej przez wiadomość atmosferze. Stawało się jasne, że przychodzi nowa era w pracy konspiracyjnej.

Nie było w tej sprawie jeszcze w tym ani w następnych dniach żadnych rozkazów, ale dla każdego było jasne, że coś się w naszej pracy musi zmienić. Wojna wchodzi w nową fazę, a więc potrzebny staje się nowy rodzaj działalności.

Lato miało pełne niemieckich fanfar, grzmiących z każdego niemal rogu ulicy, a obwieszczających nowe sukcesy. Front przesuwał się coraz bardziej na wschód. Któregoś dnia jakiś dostojnik niemiecki oświadczył nawet, że armia radziecka właściwie przestała istnieć, że teraz w grę wchodzi na Wschodzie wyłącznie operacje polityczno-oczyszczające.

Błogosławiony optymizm polski, niby to niedorzeczny, ale przecież w końcu prawdziwy, najprawdziwszy. Nie wierzyliśmy temu wszystkiemu, „wiedzieliśmy swoje” i działaliśmy. Wsypy, sukcesy, ubywanie jednych ludzi, przychodzenie drugich. Trochę przydługo trwała w Łodzi moja działalność; zbyt wiele dwuznacznych sytuacji, zbyt wiele znajomości, różnych szmerków... Trzeba – pomyślałem po trzeciej wsypie, po której mnie poszukiwano – zmienić klimat, zanim mnie do tego zmuszą. Identyczny pogląd mieli moi dowódcy.

I tak któregoś wrześniowego dnia 1941 r. prawie niepostrzeżenie przyszedłem do dyspozycji krakowskiego okręgu Związku Walki Zbrojnej.